

Opoczyńscy Kurcorze

Opoczyńskie „Święcone” składało się z jajek, kiełbasy, chleba, masła, soli, pieprzu, chrzanu, mięsa i placka. Baranka z cukru lub masła ustawiano w młodym owsie uprzednio zasianym i wykiełkowanym w doniczce. Całość przystrajano barwnymi pisankami, gałązkami barwinka i borówkami. Święconki układano w szufladzie na stole rozstawionym obok kapliczek, gdzie kapłan objazdem je święcił. Wnosząc do domu święcenie, wypowiadano następujące słowa: „Święconka do domu, robactwo z domu”. Bardzo ważne było, aby święconego nie naruszyć przed świątecznym śniadaniem, żeby – jak wierzono – nie sprowadzić do domu dokuczliwych mrówek.

Za najważniejszą i najlepszą uważana była i jest święcona woda z soboty Wielkiego Tygodnia. Wierni nabierali ją do szklanych zakorkowanych butelek wraz z kawałkami spalonych cierni. Zaraz po przybyciu z kościoła święcono nią dom i całe gospodarstwo, a kilka kropel wlewano do studni, aby nie było w niej robaków. Potem używano jej przez cały rok do poświęcenie zboża przeznaczonego na wysiew, bydła wypędzonego pierwszy raz wiosną, mieszkania nowo pobudowanego, budynków gospodarskich i stodoły przed włożeniem sprzątniętego zboża po żniwach. Wodę też umieszczano w kropielnicach przy drzwiach wejściowych i używano jej przed udaniem się do pracy i w podróż. Gdy w domu zabrakło wody święconej, pożyczano ją od sąsiada. Do dziś na wsi opoczyńskiej twierdzi się, że wody i ognia nie należy nikomu żałować, a praźródło drugiej części powiedzenia tkwi w tych czasach, w których używano hubki i krzesiwa.

W Wielką Sobotę jeszcze na początku minionego stulecia panował zwyczaj całkowitego wygaszania ognia. Rozpalano go na nowo za pomocą węglików pochodzących z ognia poświęconego na cmentarzu kościelnym.

W pierwszy dzień Wielkiejnocy, po rezurekcyjnej mszy porannej urządzano wyścigi furmanek. Kto pierwszy dojechał do wsi, temu miał obrodzić najbujniejszy owies. W Wielkanoc wykonywano tylko niezbędne prace, nie gotowano, a w niektórych domach nawet nie rozpalano ognia. Nie wypadało też odwiedzać się wzajemnie, a świąteczne śniadanie spożywano w gronie rodzinnym, zaczynając od dzielenia się poświęconym jajkiem. Skorupki ze święconych jajek dawano kurom w obręczy zdjętej z beczki, aby dobrze się nosiły, nie rozchodziły się i nie gubiły jajek.

Dla odmiany poniedziałek wielkanocny zwany „lanym” był dniem wzajemnych odwiedzin i zabaw. Oblewano się wodą (dyngus), która miała chronić od chorób, a dziewczynom wróżyć szybkie zamążpójście. W opoczyńskim dyngus kojarzy się też z obdarowywaniem dzieci przez matki chrzestne i kawalerów przez panny jajkami i pisankami. W lany

poniedziałek dzieci chodziły z gaikiem – świerkową gałązką przybraną różnokolorowymi wstążkami z bibuły.

W okresie międzywojennym od poniedziałku wielkanocnego do aż do przewodniej niedzieli (pierwsza po wielkanocnej) po wsiach opoczyńskich młodzi mężczyźni „chodzili z kurkiem” i stąd zwano ich „kurcorzami”. Najważniejszy ciągnął na paradnym dwukołowym wózku żywego koguta, obok którego rozstawione były barwne lalki imitujące parę młodych i orszak weselny. W drużynie kurcorzy konieczni byli skrzypek, basista i bębniista. Pozostali wybijali kijami takt w czasie śpiewu i nieśli kosze na podarki. Podczas tego obrzędu w kolejnych zagrodach oblewano wodą domowników, śpiewano pieśni religijne i nastrojowe, a to o męce Chrystusa, o zmartwychwstaniu, o najświętszej Paniencie i o lamentującej duszy, a także miłosne i żołnierskie. Kurcorze otrzymywali podarunki i poczęstunek, w tym przede wszystkim jaja i świąteczne baby (co w przeciwieństwie do „mokrego”) zwane było „suchym dyngusem”.

Jerzy Ciesielski

Panaceum 4/2021